



GENERATION ,P'

Wiktor Pielewin

Wiktor Pielewin (ur. 1962) stał się sławny dzięki rosyjskiej Nagrodzie Bookera za tom prozy *Sinij fona* (Niebieska latarnia, 1991). Jest autorem książek: *Mały palec Buddy* (1996; W.A.B. 2003), *Życie owadów* (1997; W.A.B. 2004), *Generation ,P'* (1999; W.A.B. 2002), *Święta księga wilkołaka* (2004; W.A.B. 2006), *Hełm grozy* (2006; wyd. pol. 2006) oraz opowiadań wydanych w zbiorze *Omon Ra i inne opowieści* (W.A.B. 2007). W swoim kraju należy do najpopularniejszych autorów. W styczniu 2002 roku rosyjska organizacja młodzieżowa popierająca Władimira Putina ogłosiła listę pisarzy i książek „słusznych” i „niesłusznych” - nazwisko Pielewina otwiera tę drugą. W 2008 roku nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukaże się zbiór opowiadań *Kryształowy świat* oraz najnowsza powieść - *Empire V*.



Wiktor Pielewin
GENERATION .P'



W serii ukazały się:

- David Adams Richards *Grzech miłosierdzia*
Majgull Axelsson *Kwietniowa czarownica*
Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu*
Aharon Appelfeld *Badenheim 1939*
John Banville *Zaćmienie*
Attila Bartis *Spokój*
Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*
Thomas Bernhard *Wymazywanie*
Javier Cercas *Zołnierze spod Salaminy*
Michel Faber *Pod skórą*
Michel Faber *Szkarlatny płatek i biały*
Jonathan Safran Foer *Wszystko jest iluminacją*
Laurent Gaudé *Słońce Scottów*
Julia Glass *Trzy czerwce*
Jan Guillou *Zło*
Michel Houellebecq *Cząstki elementarne*
Michel Houellebecq *Platforma*
Michel Houellebecq *Poszerzenie pola walki*
Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*
Imre Kertész *Los utracony*
Imre Kertész *Kadysz za nienarodzone dziecko*
Imre Kertész *Likwidacja*
Imre Kertész *Fiasko*
Imre Kertész *Ja, inny. Kronika przemiany*
Imre Kertész *Angielska flaga*
Michaił Kononow *Goła pionierka*
László Krasznahorkai *Szatańskie tango*
Michael Krüger *Wiolonczelistka*
Karel van Loon *Ojciec i ojciec*
Juan José Millás *Porządek alfabetyczny*
Harry Mulisch *Procedura*
Harry Mulisch *Odkrycie nieba*
Wiktor Pielewin *Generation „P”*
Wiktor Pielewin *Mały palec Buddy*
Wiktor Pielewin *Życie owadów*
W.G. Sebald *Wyjechali*
Slobodan Selenić *Zabójstwo z premedytacją*
Zeruya Shalev *Życie miłosne*
Zeruya Shalev *Mąż i żona*
Władimir Sorokin *Lód*
Jáchym Topol *Siostra*
Jáchym Topol *Nocna praca*
Mo Yan *Kraina wódki*
Oksana Zabuzko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*
Juli Zeh *Orły i anioły*

Wiktor Pielewin
GENERATION .P'

Przełożyła
Ewa Rojewska-Olejarczuk

Tytuł oryginału: *Generation, II'*
Copyright © 1999 by Wiktor Pielewin
Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo W.A.B., 2002
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo W.A.B., 2002

Wydanie I
Warszawa 2007

Pamięci klasy średniej

Wszystkie występujące w tekście marki handlowe są własnością ich szanownych posiadaczy, wszelkie prawa zostały zachowane. Nazwy towarów i nazwiska polityków nie wskazują na istniejące realnie produkty rynkowe i odnoszą się jedynie do projekcji elementów handlowo-politycznej przestrzeni informacyjnej, samoczynnie indukowanych w postaci podmiotów indywidualnego umysłu. Autor prosi, by potraktowano je wyłącznie jako takie. Pozostałe zbieżności są przypadkowe. Opinie autora mogą się nie pokrywać z jego punktem widzenia.

*I'm sentimental, if you know what I mean;
I love the country but I can't stand the scene.
And I'm neither left or right.
I'm just staying home tonight,
Getting lost in that hopeless little screen*.*

Leonard Cohen

* *Sentymentalny z wiekiem robię się;
Kocham ten kraj, choć w scenografii zlej.
Nie jestem z lewej ani z prawej,
We własnym domu nocą bawię,
Topiąc wzrok w ekranu mętnym szkle.*

Demokracja, przekład Macieja Zembatego

Pokolenie ‚P’

Kiedyś w Rosji naprawdę żyło beztroskie młode pokolenie, które pewnego razu, uśmiechnąwszy się do lata, morza i słońca – wybrało pepsa.

Obecnie trudno już ustalić, czemu tak się stało. Zapewne nie chodziło tylko o niezwykle walory smakowe rzeczonego napoju. I nie o kofeinę, która sprawia, że dzieciaki stale domagają się nowej działki, i która od małości wprowadza je konsekwentnie w kokainowy ciąg. I nawet nie o trywialną łapówkę – chciałoby się wierzyć, że partyjny biurokrata, od którego zależało podpisanie umowy, po prostu wziął i pokochał tę ciemną musującą ciecz wszystkimi porami swej rozczarowanej do komunizmu duszy.

Przyczyną najprawdopodobniej było to, że ideolodzy ZSRR uważali, iż prawda może być tylko jedna. Dlatego też pokolenie ‚P’ rzeczywiście nie miało żadnego wyboru i dzieci radzieckich lat siedemdziesiątych wybierały pepsa dokładnie tak samo, jak ich rodzice wybierali Breżniewa.

Jakkolwiek zresztą było, owe dzieci, leżąc latem na plaży, długo patrzyły w bezchmurny błękitny horyzont, piły ciepłą pepsa-colę, rozlewaną do szklanych butelek w mieście Noworosyjsku, i marzyły o tym, że kiedyś daleki zakazany świat, leżący po tamtej stronie morza, wkroczy w ich życie.

Minęło dziesięć lat i ów świat zaczął wkraczać – najpierw ostrożnie i z uprzejmym uśmiechem, a potem coraz pewniej i śmielej. Jedną z jego wizytówek okazał się spot reklamujący pepsicołę – spot, który, jak podkreślało wielu badaczy, stał się punktem zwrotnym w rozwoju całej światowej kultury. W reklamie występują dwie małpy. Jedna pije „zwykłą colę” i w rezultacie potrafi wykonywać parę prościutkich zadań logicznych z klockami i patyczkami. Druga małpa pije pepsicołę. Z radosnym pohukiwaniem odjeżdża w stronę morza dziupem, obejmując kilka dziewcząt, które najwyraźniej w nosie mają równouprawnienie kobiet (kiedy się wchodzi w bliskie stosunki z małpami, najlepiej po prostu nie myśleć o takich rzeczach, albowiem zarówno równouprawnienie, jak i nierównouprawnienie stanowiłoby takie samo brzemię dla duszy).

Właściwie już wtedy można się było zorientować, że wcale nie chodzi o pepsicołę, tylko o pieniądze, które się z nią bezpośrednio wiążą. Na taki wniosek naprowadzała, po pierwsze, klasyczna freudowska asocjacja, związana z kolorem produktu; po drugie zaś, logiczny wywód – kto pije pepsicołę, tego stać na drogie samochody. Nie zamierzamy jednak zapuszczać się w dogłębną analizę tego spotu (choć, być może, właśnie tu dałoby się znaleźć wytłumaczenie, czemu generacja lat sześćdziesiątych tak uparcie nazywa pokolenie „P” głównopijami). Dla nas istotne jest to, że ostatecznie symbolem pokolenia „P” stała się małpa w dziupie.

Z przykrością uświadomiliśmy sobie, jak chłopcy z agencji reklamowych przy Madison Avenue postrzegają swoje audytorium, tak zwaną *target group*. Imponująca była jednak ich dogłębna znajomość życia. Właśnie ten spot uzmysłowił mnóstwu wegetujących w Rosji małp, że nadeszła pora, by przesiadać się do dziup i łączyć się z córami człowieczymi.

Głupotą byłoby doszukiwać się tu antyrosyjskiego spisku. Antyrosyjski spisek bez wątpienia istnieje – tyle tylko, że należy doń cała dorosła populacja Rosji. Tak że pepsi-cola nie ma tu zupełnie nic do rzeczy. To, co się stało, było częścią ogólnoswiatowego procesu, który znalazł odbicie w wielu książkach (wystarczy wspomnieć choćby *Oczekiwanie na małpy* Andrieja Bitowa czy *Plażę w Brazzaville* Williama Boyda). Proces ten nie ominął też Ameryki, chociaż tam wszystko przebiegało zupełnie inaczej. Coca-cola całkowicie, definitywnie i nieodwracalnie wyparła pepsi-colę z czerwonego barwnego tła, co dla człowieka znającego się na rzeczy jest równie doniosłe jak zwycięstwo pod Waterloo. Wiązało się to z działalnością religijnej prawicy, która w Stanach Zjednoczonych jest bardzo silna. Ludzie ci nie uznają teorii ewolucji; coca-cola lepiej się wpisuje w ich obraz świata, ponieważ pijąca ją małpa nadal pozostaje małpą. A zresztą zbyt długo już mówimy o małpach – przecież mieliśmy poszukiwać człowieka.

Wawilen Tatarski urodził się na długo przed owym historycznym zwycięstwem czerwonego nad czerwonym. W związku z tym automatycznie znalazł się w pokoleniu „P”, chociaż przez długi czas nie miał o tym pojęcia. Gdyby w tamtych odległych latach ktoś mu powiedział, że gdy dorośnie, zostanie copywriterem, Wawilen zapewne ze zdumienia upuściłby butelkę pepsi-coli na gorące otoczaki pionierskiej plaży. W tamtych odległych latach dzieci powinny były marzyć o lśniącym hełmie strażaka lub białym fartuchu lekarza. Nawet nieszkodliwe słówko „dizajner” wydawało się podejrzanym neologizmem, który przyjął się we wspaniałym języku rosyjskim na zasadzie lingwistycznego limitu, do pierwszego poważnego zaostżenia sytuacji politycznej.

W owych czasach jednak zarówno w języku, jak i w życiu wiele było rzeczy podejrzanych i dziwnych. Weźmy chociażby samo imię „Wawilen”. Uszczęśliwił nim Tatarskiego jego ojciec, w którego duszy połączyły się w jedną całość wiara w komunizm i ideały lat sześćdziesiątych. Imię było zlepkiem słów „Wasilij Aksionow” i „Włodzimierz Iljicz Lenin”. Ojciec Tatarskiego najwyraźniej bez trudu potrafił sobie wyobrazić zagorzałego leninistę, któremu swobodna proza Aksionowa uświadamia, że marksizm od swego zarania opowiadał się za wolną miłością, albo sfiksowanego na punkcie jazzu estetę, którego jakaś szczególnie przeciągła saksofonowa rulada nagle naprowadza na myśl, że komunizm zwycięży. Ale taki był nie tylko ojciec Tatarskiego – takie było całe radzieckie pokolenie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które podarowało światu niezależną pieśń, a zakończyło wysłaniem w czarną pustkę kosmosu pierwszego sputnika – czteroogoniastego plemnika przyszłości, która nigdy nie nadeszła.

Tatarski wstydził się bardzo swego imienia i kiedy tylko mógł, przedstawiał się „Wowa”. Potem zaczął kłamać przyjaciółom, że ojciec nadał mu to imię dlatego, iż pasjonował się mistyką Wschodu i chodziło mu o starożytne miasto Babilon* i że on, Wawilen, miał zostać spadkobiercą tajemnej doktryny tego grodu. Zlepek Aksionowa z Leninem ojciec zaś sklecił dlatego, że jako zwolennik manicheizmu i filozofii naturalnej czuł się zobowiązany do zrównoważenia pierwiastka jasnego ciemnym. Mimo tak błyskotliwego wyjaśnienia Tatarski w wieku lat osiemnastu z satysfakcją zgubił swój pierwszy dowód osobisty, a drugi wydano mu już na imię Władimir.

Później jego życie płynęło zupełnie zwyczajnie. Wstąpił na uczelnię techniczną – oczywiście nie dlatego, że lubił technikę

* Ros. *Wawilon*.

(jego specjalnością miały być jakieś elektryczne piece hutnicze), ale dlatego, że nie chciał iść do wojska. Kiedy skończył dwadzieścia jeden lat, przydarzyło mu się jednak coś, co przesądziło o jego dalszych losach.

Latem na wsi Tatarski przeczytał mały tomik Borysa Pasternaka. Wiersze, do których dawniej nie miał żadnego zamiłowania, tak dalece nim wstrząsnęły, że przez kilka tygodni nie potrafił myśleć o niczym innym, a potem sam zaczął je pisać. Na zawsze zapamiętał zardzewiały szkielet autobusu, skośnie wrośnięty w ziemię na skraju podmoskiewskiego lasu. W pobliżu tego szkieletu przyszedł mu do głowy pierwszy w życiu wers – „Sardynki chmur płyną na południe” (później zawsze miał wrażenie, że ten wiersz zalatuje rybą). Jednym słowem, przypadek był absolutnie typowy i w sposób typowy się zakończył – Tatarski podjął studia w Instytucie Literatury. Niestety, na wydział poezji się nie dostał i musiał się zadowolić przekładami z języków narodów Związku Radzieckiego. Tatarski wyobrażał sobie swoją przyszłość mniej więcej tak: w ciągu dnia – puste audytorium w instytucie, „rybka” z uzbeckiego czy kirgiskiego, którą należy zrymować na jutro, a wieczorami – praca dla potomności.

Potem niepostrzeżenie nastąpiło pewne istotne dla jego przyszłości zjawisko. Związek Radziecki, który zaczęto modernizować i ulepszać mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Tatarski postanowił zmienić zawód, ulepszył się do tego stopnia, że przestał istnieć (jeśli państwo jest w stanie popaść w nirwanę, był to akurat taki przypadek). W tej sytuacji o żadnych przekładach z języków narodów ZSRR nie mogło już być mowy. To był cios, ale Tatarski jakoś go zniósł. Pozostawała jeszcze praca dla potomności.

I tu zdarzyła się rzecz nieprzewidziana. Z potomnością, której Tatarski postanowił poświęcić swą pracę i życie, także

zaczęło się coś dziać. Przecież potomność – tak w każdym razie myślał wówczas Wawilen – jest czymś niezmiennym, niezniszczalnym i całkowicie niezależnym od ulotnych ziemskich układów, czyli właściwie wiecznością. Skoro, na przykład, mały tomik Pasternaka, który odmienił życie Tatarskiego, już trafił do potomności, to nie ma takiej siły, która mogłaby go stamtąd wyrzucić.

Okazało się jednak, że niezupełnie jest tak. Okazało się, że potomność trwała tylko dopóty, dopóki Tatarski szczerze w nią wierzył, i że w zasadzie nie istniała nigdzie poza granicami owej wiary. Aby szczerze wierzyć w potomność, wiarę tę powinni podzielać inni – jako że wiarę, której nikt nie podziela, nazywa się schizofrenią. Tymczasem z innymi – także tymi, którzy wpajali Tatarskiemu, że powinien się starać przejść do potomności – zaczęło się dziać coś dziwnego.

Nie żeby zmienili swe dotychczasowe poglądy, nic z tych rzeczy. Sama przestrzeń, na którą skierowane były te poglądy (wszak poglądy, jak i spojrzenia, zawsze są na coś skierowane), zaczęła się kurczyć i zanikać, aż wreszcie pozostał z niej tylko mikroskopijny punkcik na przedniej szybie umysłu.

Tatarski próbował walczyć, udając, że właściwie nic się nie dzieje. Początkowo z powodzeniem. Utrzymując ścisłe kontakty z ludźmi, którzy także udawali, że nic się nie dzieje, można było na jakiś czas w to uwierzyć. Koniec nastąpił nieoczekiwanie.

Pewnego razu na spacerze Tatarski przystanął przed witryną zamkniętą na przerwę obiadową sklepu obuwniczego. W głębi roztapiała się w letnim upale sympatyczna gruba ekspedientka, którą Tatarski, nie wiedząc czemu, od razu nazwał w duchu Manią, a na wystawie wśród mnóstwa różnobarwnych tureckich wyrobów stała para butów bez wątpienia rodzimej produkcji.

Tatarski poczuł przesywające ukłucie rozpoznania. Były to ostronose pantofle na wysokich obcasach, wykonane z dobrej skóry. Koloru żółtorudego, stębnowane niebieską nicią i ozdobione wielkimi złotymi klamerkami w kształcie harf, pantofle nie były po prostu niegustowne czy tandetne. Bardzo wyraźnie ucieleśniały coś, co pewien zapijaczony wykładowca literatury radzieckiej w Instytucie nazywał „nasz *Gestalt*”, i było to tak żałosne, śmieszne i przejmujące, że Tatarskiemu łzy napłynęły do oczu. Pantofle pokrywała gruba warstwa kurzu – wyraźnie nie trafiły w gust epoki.

Tatarski wiedział, że on także nie trafia w gust epoki, ale zdążył się z tą myślą pogodzić i nawet znajdował w niej pewną gorzką słodycz. Określał to słowami Mariny Cwietajewej: „Rzuconych w magazynów ciemne kąty (gdzie nie sięgnął po nie żaden z was!), dla mych wierszy, jak dla win wybornych, nadejdzie jeszcze czas”*. Jeśli było w tym uczuciu coś poniżającego, to nie dla niego – raczej dla reszty świata. Stojąc jednak jak wmurowany przed wystawą, Tatarski nagle zrozumiał, że pokrywa się kurzem wcale nie jak naczynie z wybornym winem, ale właśnie jak pantofle z klamerkami w kształcie harf. A poza tym pojął jeszcze jedno: potomność, w którą dawniej wierzył, mogła istnieć tylko dzięki dotacjom państwowym – albo, co właściwie było tym samym – jako coś zakazanego przez państwo. Co więcej, mogła istnieć tylko w postaci półświadomego wspomnienia jakiejś Mani ze sklepu z butami. Mani zaś, tak samo jak jemu, tę problematyczną potomność wbijano do głowy wraz z przyrodoznawstwem i chemią nieorganiczną. Potomność była swobodna, nieskrępowana – gdyby, powiedzmy, nie Stalin zamordował Trockiego, ale na odwrót, reprezentowałyby ją zupełnie inne osoby. Ale nawet to było nieistotne, ponie-

* Przekład Joanny Salamon.

waż Tatarski doskonale rozumiał, że w takim czy innym układzie Mania i tak nie ma kiedy zajmować się potomnością, i gdy ostatecznie przestanie w nią wierzyć, żadnej potomności więcej nie będzie, no bo gdzie miałyby wtedy być! Czyli, jak po powrocie do domu zapisał w swym notesie: „Kiedy znika podmiot potomności, znikają też wszystkie jej przedmioty, a jedynym podmiotem potomności jest ten, kto chociaż od czasu do czasu o niej sobie przypomina”.

Przestał pisać wiersze: z upadkiem władzy radzieckiej wiersze utraciły sens i wartość. Ostatnie wersy, jakie stworzył zaraz po tym wydarzeniu, były zainspirowane piosenką zespołu DDT („Cóż to jest jesień – to liście...”) i obrazami z późnego Dostojewskiego. Wiersz ów kończył się tak:

*Cóż więc to jest wieczność – to jest bania,
Zwykła bania-łaźnia z pająkami.
Jeśli o tej bani
Zapomni i Mania,
Co się stanie z ojczyzną i z nami ?*

Draft Podium

Kiedy tylko wieczność znikła, Tatarski znalazł się w terażniejszości i okazało się, że zupełnie nic nie wie o świecie, który zdążył wyrosnąć wokół niego w ciągu kilku ostatnich lat.

Ów świat był bardzo dziwny. Zewnętrznie zmienił się mało – chyba tylko o tyle, że na ulicach pojawiło się więcej żebraków, a wszystko dokoła – domy, drzewa, ławki na skwerach – nagle jakoś od razu się postarzało i zbrzydło. Nie można też było powiedzieć, że zmieniło się samo sedno świata, ponieważ świat po prostu nie miał teraz żadnego sedna. We wszystkim panowała trochę przerażająca nieokreśloność. Mimo to jednak ulicami pędziły strumienie mercedesów i toyot, w których siedzieli niezachwianie pewni siebie i tego, co się dzieje, krzepcy faceci, a nawet, jeśli wierzyć gazetom, istniała jakaś polityka wewnętrzna.

W telewizji tymczasem pokazywano te same mordy, na których widok przez ostatnie dwadzieścia lat wszystkim robiło się niedobrze. Teraz właściciele tych mord mówili słowo w słowo to samo, za co dawniej wsadzali innych do ciupy, tylko o wiele śmieiej, ostrzej i bardziej radykalnie. Tatarski często wyobrażał sobie Niemcy czterdziestego szóstego roku, gdzie doktor Goebbels histerycznie wrzeszczy przez radio o przepaści, w którą faszyzm wciągnął naród, gdzie były komendant Oświęcimia staję na czele komisji do ścigania nazistowskich

zbrodniarzy, gdzie generałowie SS prosto i przystępnie mówią o wartościach liberalnych, a całemu temu kramowi przewodzi gauleiter Prus Wschodnich, który wreszcie przejrzał na oczy. Tatarski oczywiście nienawidził władzy radzieckiej w większości jej przejawów, niemniej jednak nie mógł zrozumieć, po co było zamieniać imperium zła na bananową republikę zła, która importuje banany z Finlandii.

Tatarski zresztą nigdy nie był wielkim moralistą, toteż absorbowała go nie tyle ocena tego, co się dzieje, ile problem utrzymania się przy życiu. Nie miał żadnych znajomych, którzy mogliby mu pomóc, zabrał się więc do rzeczy w sposób najprostszy: zatrudnił się jako sprzedawca w prywatnej budce nieopodal swego domu.

Robota była łatwa, ale nerwowa. W budce było ciemno i zimno jak w czołgu; ze światem łączyło ją małe okienko, przez które ledwie dawało się przepchnąć butelkę szampana. Przed ewentualnymi nieprzyjemnościami chroniła Tatarskiego krata z grubych prętów, byle jak przyspawana do ścian. Wieczorem Tatarski oddawał utarg niemłodemu Czeczenowi z ciężkim złotym sygnetem; niekiedy nawet udawało się wykroić dodatkowe parę groszy. Czasami do budki podchodzili początkujący bandyci i łamiącymi się głosami żądali zapłaty za ochronę. Tatarski, zmęczony, odsyłał ich do Husejna. Husejn był chudziutkim, niewysokim młodzianem o oczach wiecznie maślanych od narkotyków; zazwyczaj leżał na materacu w prawie pustej przyczepie kempingowej, która zamykała ciąg kiosków handlowych, i słuchał muzyki sufickiej. Poza materacem w przyczepie znajdował się stół i szafa ogniotrwała, w której leżało dużo pieniędzy, i stał wyszukany model automatu Kałasznikowa z podwieszonym granatnikiem.

Pracując w budce (trwało to prawie rok), Tatarski zdobył dwie nowe cechy. Pierwszą był cynizm, bezkresny jak widok

z wieży telewizyjnej w Ostankinie. Druga cecha była zdumiewająca i trudna do wytłumaczenia. Tatarskiemu wystarczyło krótkie spojrzenie na dłonie klienta, by się zorientować, czy da się go oszukać i na jaką sumę, czy można się wobec niego zachować grubiańsko, czy nie, czy zachodzi obawa, że klient zapłaci fałszywym banknotem, i czy warto samemu podsunąć mu taką fałszywkę, wydając resztę. Nie działał tu żaden określony system. Czasem w okienku ukazywała się pięść podobna do owłosionego melona, ale było jasne, że wobec tego klienta można zastosować wszystkie wymienione chwyt. Niekiedy zaś serce Tatarskiego zamierało ze strachu na widok wąskiej kobiecej dłoni o wymanikiurowanych paznokciach.

Pewnego razu ktoś poprosił o paczkę papierosów Davidoff. Dłoń, która położyła na ladzie zmięte sto tysięcy, była nieciekawa. Tatarski zauważył lekkie, prawie niedostrzegalne drżenie palców, popatrzył na starannie opiłowane paznokcie i domyślił się, że klient nadużywa stymulatorów. Mógł to być z powodzeniem albo jakiś bandzior średnich lotów, albo biznesmen – lub też, jak się to najczęściej zdarzało, coś pośredniego między jednym a drugim.

- Jakie Davidoff? Zwykłe czy lighty?

- Lighty – odpowiedział klient, pochylił się i zajrzał w okienko.

Tatarski drgnął – poznał kolegę z Instytutu Literatury, Siergieja Morkowina. Kiedyś Morkowin był jedną z barwniejszych postaci na roku i stylizował się na Majakowskiego – nosił żółty sweter i epatował wyszukаныmi wierszami („Mój wiersz, wyraźny niczym topór...” albo „O, Lica Krzyku! O, Mato Hari!”). Prawie się nie zmienił, tylko we włosach miał teraz równiutki przedziałek, a w przedziałku – kilka siwych włosów.

- Wowa? – spytał ze zdziwieniem Morkowin. – Co ty tu robisz?

Tatarski nie wiedział, co odrzec.

- Jasne - rzucił Morkowin. - Chodź, idziemy stąd w cholerę.

Po krótkich namowach Tatarski zamknął sklepik na klucz i oglądając się bojaźliwie na przyczepę Husejna, ruszył za Morkowinem do jego samochodu. Pojechali do drogiej chińskiej restauracji „Świątynia Księżycy”, zjedli suto zakrapianą kolację i Morkowin opowiedział, czym się ostatnio zajmuje. A zajmował się reklamą.

- Wowa - mówił, chwytając Tatarskiego za rękę i błyskając oczyma - nadeszły niezwykle czasy. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie było i nigdy później nie będzie. Gorączka jak w Klondike. Za dwa lata wszystko już będzie rozdrapane. A teraz jest realna szansa włączenia się w ten system, nawet gdy się przychodzi prosto z ulicy. Pomyśl tylko, w Nowym Jorku ludzie pół życia oddają, żeby zjeść obiad z właściwymi osobami, a u nas...

Wielu spraw, o których mówił Morkowin, Tatarski po prostu nie rozumiał. Jedyny fragment rozmowy, który rozumiał dokładnie, dotyczył schematu funkcjonowania biznesu epoki pierwotnej akumulacji kapitału i jego korelacji z reklamą.

- Cała rzecz odbywa się mniej więcej tak - mówił Morkowin. - Człowiek bierze kredyt. Za ten kredyt wynajmuje biuro, kupuje dżipa cherokee i osiem skrzynek smirnoffa. Kiedy smirnoff się kończy, okazuje się, że dżip jest rozbity, biuro zarzygane, a kredyt trzeba zwrócić. Wtedy bierze się drugi kredyt - trzy razy wyższy od pierwszego. Z tego spłaca się pierwszy kredyt, kupuje się dżipa grand cherokee i szesnaście skrzynek absolutu. Kiedy absolut...

- Rozumiem - przerwał Tatarski. - A co potem?

- Dwa warianty. Jeżeli bank, w którym człowiek wziął kredyt, jest bandycki, to w jakimś momencie człowiek zostaje zabity. Ponieważ innych banków u nas nie ma, tak właśnie najczęściej się dzieje. Jeżeli zaś, przeciwnie, człowiek sam jest bandytą, to ostatni kredyt przerzuca na Bank Państwowy, Gosbank, i ogłasza upadłość. Do jego biura przychodzi komornik, opisuje puste butelki i zarzygany faks, a on po jakimś czasie zaczyna wszystko od początku. Gosbank ma już teraz własnych bandytów, tak że sytuacja się nieco skomplikowała, ale w zasadzie obraz pozostał ten sam.

- Aha - powiedział w zamyśleniu Tatarski. - Nie rozumiem tylko, co to ma wspólnego z reklamą.

- Tu właśnie zaczyna się najważniejsze. Kiedy mniej więcej połowa smirnoffa czy absolutu pozostaje jeszcze niewypita, dżip nadal jest na chodzie, a śmierć wydaje się odległa i abstrakcyjna, w głowie człowieka, który to wszystko zmontował, zachodzi szczególnego rodzaju reakcja chemiczna. Budzi się w nim potężna mania wielkości i facet zamawia sobie klip reklamowy. W dodatku domaga się, aby reklama była bardziej agresywna niż klipy innych idiotów. Finansowo idzie na to mniej więcej trzecia część każdego kredytu. Psychologicznie rzecz jest całkowicie zrozumiała. Człowiek zakłada jakieś małe przedsiębiorstwo pod nazwą „Everest” i tak bardzo zachciewa mu się ujrzeć swoje logo na pierwszym kanale telewizji, gdzieś między reklamą BMW a Coca-Coli, że dałby się za to posiekać. No więc, w chwili, gdy w głowie klienta zachodzi ta reakcja, z krzaków wyłaniamy się my.

Tatarskiemu wielką przyjemność sprawiło owo „my”.

- Sytuacja wygląda tak - ciągnął Morkowin. - Jest kilka studiów, które robią te reklamy, i na gwałt potrzebują pomysłów scenarzystów, bo dziś wszystko zależy od scenarzysty. A oto na czym polega ta robota: ludzie ze studia znajdują